TOŻSAMOŚĆ · OPINIA

POSTPRAWDA WALCZĄCA. POLSKA POLITYKA KARYKATURĄ SCHMITTA I POSTMODERNY

Jacek Tomczak · 20 kwietnia 2026



Dlaczego partie „uśmiechu i zgody narodowej" giną pod ciosami „polityczności", z którą chciały walczyć? Dlaczego „totalność" pojawia się, gdy spory światopoglądowe ustępują miejsca personalnym konfliktom? Dlaczego gdy zanika prawda, pojawiają się prawdy absolutne, a nie relatywizm?

Dwa zdarzenia z polskiego życia politycznego nie byłyby same w sobie tak interesujące, gdyby nie wyrażały samej jego istoty. Wyrzucenie posłanki Pauliny Matysiak z partii Razem z powodu jej zaangażowania we wpieranie budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego wspólnie z politykami Prawa i Sprawiedliwości oraz rozpad partii Polska 2050 Szymona Hołowni warto postrzegać nie jako incydenty, lecz konsekwencje charakteru polskiej polityki, jej nieodzowne skutki, uzewnętrznienie tego, co tkwi w samej jej istocie. To, co wielu lubi przyporządkowywać do nadużywanej kategorii „wojny plemiennej", stanowi karykaturę dwóch całkowicie różnych koncepcji polityki, jak i – ogólniej – świata.

Schmitt i postmoderniści tłumaczą polską politykę?

Z jednej strony, Carl Schmitt nie daje o sobie zapomnieć i ze swoją wizją polityki jako konfliktu opartego na realnych różnicach interesów patrzy z pobłażliwością na przekonanych o wprowadzaniu „nowej jakości" piewców „zgody narodowej", zadbanych trawników i pięknych uśmiechów. Kończą oni zazwyczaj w

bezwzględnym uścisku tego, co zlikwidować obiecywali. Kończą przeobrażeni w nicość ci, którzy aksjologiczną nicość, podaną w krótkotrwale przystępnej formie „Sejmflixa" przedstawiali jako antidotum. Kończą – w tym dramacie jest dużo z komedii – zmieniając nazwę na Polska 2050 Rzeczpospolitej Polskiej, i zdegustowani przyznają, że w polityce nie o uśmiechy i trawniki chodzi, ani nawet nie o Szymona Hołownię. I z Adamem Gomołą jako ukłonem w stronę realnego wymiaru polityki.

Z drugiej strony, Michel Foucault z jego hasłem „prawda was zniewoli", dowodzący, iż samo przekonanie o istnieniu prawdy prowadzi do totalitaryzmu, skutkując bezkompromisowością w egzekwowaniu wynikających z niej postulatów – on też nie daje o sobie zapomnieć. Polska polityka to „dyskursy", „narracje", „interpretacje" – każdy ma swoje definicje pojęć, swoje media, swoje oryginały, które stara się kserować, swoich męczenników, swoich sędziów i swoich przestępców. Już dawno nie chodzi o to „co", lecz o to „kto".

> Polska polityka tkwi w Pułapce Domniemania Wyższej Instancji – tymczasem „tak orzekł niezawisły sąd" przestało już na kimkolwiek robić wrażenie; tymczasem tego, który wzniesie się ponad doraźność sporu, wyzbędzie się subiektywizmu i powie „jak jest", po prostu nie ma bądź też każdy ma własną wyższą instancję.

To świat profesor Renaty Mieńkowskiej-Norkiene, która podczas debaty w TVP Info miała weryfikować prawdziwość wypowiedzi uczestników i która przerwała Wojciechowi Machulskiemu z Konfederacji po słowach: „Unia Europejska nie jest jeszcze państwem", tłumacząc – tak jakby to miało tłumaczyć cokolwiek – że to z uwagi na użycie słów „na szczęście" w ramach komentarza do wcześniejszego zdania. Zupełnie nie chodzi mi tu o samą kolejność zdarzeń – pani profesor nacisnęła przycisk nakazujący przerwać wypowiedź jeszcze przed tym „na szczęście". Charakterystyczne jest to, że ktoś, kto w zamiarze (bądź jedynie w deklarowanej intencji) twórców programu stanowi zwierciadło prawdy, sam jest przez swój subiektywizm doprowadzany na skraj zaburzenia obsesyjno-kompulsywnego. To przecież jasne, że prawda jest czwartorzędna – ważne, że polityk należy do Konfederacji.

Ten obwieszczany z częstotliwością pór roku „upadek autorytetów" następuje nie tyle z powodu partyjnego zaangażowania wielu tych, którzy do tej roli aspirują, ile z powodu braku elementarnej zgody w kwestii tego, jakie wartości są przyswajane przez wszystkich uczestników życia publicznego.

To świat, w którym kalkulatory na pytanie o to, czy 2 plus 2 to 4, odpowiadają: „a jesteś z KO czy z PiS?".

Schmitt i postmoderniści w krzywym zwierciadle

Schmitt i postmoderniści mówią nam coś o polskiej polityce, lecz proste przełożenie ich myśli na naszą współczesność zaowocuje błędami poznawczymi.

Istota „polityczności", podziału wróg-przyjaciel ulega przeformułowaniu i przenosi się na wymiar osobisty, środowiskowy.

Konflikty partyjne nie stanowią tu odzwierciedlenia realnych problemów społecznych. I nie chodzi o przy-

woływanie statystyk, które wykazują, jak powszechne jest głosowanie przez wyborców „wbrew sobie", czyli na partie głoszące postulaty, których realizacja sprzyjałaby wcale nie im (studenci popierają programy korzystne dla przedsiębiorców, krezusi – programy socjalne). Jeśli uczestnicy życia publicznego mają jakieś sprawy pierwszej wagi, to w ogóle nie dotyczą one programów, lecz ich samych.

> Teoretycznie w demokracji problemy społeczne przenoszą się na pułap polityczny – w Polsce mamy do czynienia z odwróceniem tego zjawiska. Znaczna część społeczeństwa walczy i kłóci się o „swoich" polityków. Do tego stopnia ludzie utożsamiają się z tymi, których uważają za swoich reprezentantów, że – jak wskazują choćby badania socjologiczne przedstawione w książce *Społeczeństwo populistów* Sławomira Sierakowskiego i Przemysława Sadury – są skłonni wybaczać „swoim" przywłaszczanie publicznych pieniędzy, o ile wydają je na cele korzystne ze społecznego punktu widzenia.

Najbardziej skrajne wypowiedzi polityków głównego nurtu są skrajne skrajnością środków wyrazu, nie zaś skrajnością wyrażanych idei, jeśli zaś możemy mówić o konsekwencji, to nie w kwestiach światopoglądowych, lecz w lojalności wobec własnego środowiska. Co charakterystyczne, najostrzejszy konflikt, stojący u podstaw eskalacji postaw plemiennych, dotyczył katastrofy smoleńskiej, kategorie prawica-lewica pełniły w nim bowiem przecież jedynie funkcję lichej nadbudowy wobec eksplodujących, niczym lawa w wulkanie, personalnych oskarżeń.

Polski duopol partyjny to takie wielkie „skrajne centrum". Kategoria „skrajnego centrum" użyta została do opisu fenomenu faszyzmu jako wspieranego przez zradykalizowanych wyborców partii centrowych. Jednocześnie wydaje się ona adekwatna także w tym przypadku z uwagi na to, że oddaje pewien rodzaj wyrazistości politycznego przekazu, niemający jednakże pokrycia w fundamentalizmie światopoglądu.

Wracając do teorii postmodernistów, wyżej starałem się nakreślić zjawisko polegające na wyrugowaniu prawdy jako obiektywnej, poznawalnej i niezmiennej, czyli takiej, jak przedstawiała ją filozofia klasyczna. Zastąpiono ją „mitami" w rozumieniu opowieści, czegoś luźno związanego z rzeczywistością, a w co ludzie wierzą, co ludzie – chodzi właśnie o to – przyjmują jako prawdę. Nie da się jednocześnie nie spostrzec absolutyzacji poszczególnych „prawd" przez tych, którzy je głoszą, podnoszenia „mitów" do rangi obowiązującej wykładni. W duopolu nie istnieją „inne opinie", lecz „wybawcy" i „zdrajcy", „właśnie tak jest" i „jak zwykle kłamie".

Postmoderniści fascynowali się choćby imigranckimi gettami, w których widzieli siłę demontującą jednolitość norm społecznych, żywioł podkopujący – w ich optyce – quasitotalitarne społeczeństwo, w którym wszyscy zmuszeni są uznawać jedną prawdę. Polska „wojna plemienna" toczy się między gettami, spośród których każde uznaje, że w gruncie rzeczy reprezentuje cały kraj. „Tu jest Polska!" versus „tu jest Polska!".

Intruz wśród „samych swoich"? Czy „sam swój" w krainie intruzów?

Wojna plemienna. Schmittańska „wojna", postmodernistyczne „plemiona". „Plemienność" wpływa na

charakter „wojny", wysuwając wymiar personalny na jej pierwszy plan, a „wojna" skłania plemiona do roszczenia nie tylko wyjątkowości, lecz także wyłączności. Jak, najkrócej jak to możliwe, można scharakteryzować tę „wojnę plemienną"?

> Po pierwsze, „uniwersalizacja" partykularyzmów, czyli prezentacja swoich poglądów i postulatów jako wynikających z troski o powszechnie uznawane wartości („wolność", „demokracja", „sprawiedliwość"). Po drugie, „totalność", uwidaczniająca się zarówno w wymiarze personalnym, jak i w wymiarze poglądów, czyli uznawanie, że „nasi" zawsze i we wszystkim mają rację. Dodajmy, że mają ją tym bardziej, im bardziej zaprzeczają temu, co wcześniej mówili, wszak działa tu logika odwracania uwagi od dokonanego piruetu. Po trzecie, podniesienie temperatury sporu przez wszechobecność ostrych, pełnych przesady słów. To podniesienie to w istocie degradacja – degradacja słów. Spowszednienie stanu nadzwyczajnego czyni go zwyczajnym.

„Śniadanie Rymanowskiego" w Polsat News, 22 marca 2026 roku. Każdy bukmacher zaproponowałby najniższy możliwy kurs za wytypowanie tego, co miało tam miejsce – no, może trochę wyższy, bo w tle zabrakło tym razem zarzutów o „powtarzanie propagandy Kremla". Ponad połowę programu zajęła kłótnia Bartosza Arłukowicza z KO z Radosławem Foglem z PiS oraz Zbigniewem Boguckim z Kancelarii Prezydenta. Oczywiście, kłótnia w rytmie „kto jest winny", pełna wypominania i personalnych przytyków. Jeśli ktoś, oglądając to, nie czuł zażenowania, to jedynie dlatego, że zażenowanie mu spowszedniało.

„O waszej partii piszą: pedofilia obywatelska" – tak rzekł poseł Fogiel, jakby chcąc po raz któryś unaocznić, że „wojna plemienna" polega na równaniu do dwóch osób: do własnego wodza oraz do najbardziej wyzbytej hamulców osoby w swoim środowisku. Arłukowicz powiedział Boguckiemu, że chętnie zająłby się jego żoną. Odrażające zbrodnie dokonywane na dzieciach, odrażające potwornością sytuującą je w sferze bliskiej tabu, która wyklucza instrumentalizację dla potrzeb propagandy, a także atakowanie żon innych polityków – to sos, jakim polewa się duopol, nawet nie tyle pikantny, ile niestrawny i przeterminowany. A oni tak „rozmawiali" przez pół godziny. Takie szkolenie dla szambonurków w niedzielny poranek.

Tytuł nagrania na kanale Polsatu na portalu YouTube? Krytyczny i zdystansowany wobec uczynienia personalnej wojny z bardzo poważnego tematu? Nie, przecież nic tak nie przyciąga jak polityczna subtelność rzeźnika. „Potężna awantura w studio" – trudno wymyślić dziś lepszy towar eksportowy w tym bagnie nihilistów, zradykalizowanych nie pomimo braku merytorycznych argumentów, lecz właśnie z powodu tego braku.

Zanikł gdzieś w tej otchłani głos obecnego w studio wicemarszałka Sejmu Krzysztofa Bosaka, który próbował merytorycznie odnieść się do kłopotów z porodówkami, krytykując rząd, ale też sygnalizując kierunki zmian. Chciałoby się przywołać *Mury* Jacka Kaczmarskiego: „Ten z nami! Ten przeciw nam! Kto sam, ten nasz najgorszy wróg". Bosak był jak jakiś intruz w krainie „samych swoich". A może jak „sam swój" w krainie intruzów. Nie dość, że unikał wycieczek personalnych, nie dość, że nie koncentrował się na przeszłości, to jeszcze proponował rozwiązania. Kultura zdegradowana do poziomu naiwności wołała o pytanie: a co mu to daje – to, że nikogo nie obraża, to, że nie widzi w przeciwniku pedofila albo nie zaj-

muje się jego żoną? Czy on w ogóle nadaje się na polityka?

Jeśli ktoś po takich „debatach" nie ma kaca, to tylko dlatego, że ma go cały czas.

Polityka uśmiechów na celowniku „polityczności"

W takim świecie triumfują zradykalizowany koniunkturalizm, walczący o życie konformizm, wydrapywana pazurami kariera, w rytmie wrzasku zagłuszającego sumienie. W takim świecie czołową rolę odgrywa Roman Giertych. Jakie poglądy ma Roman Giertych? A co to ma za znaczenie? Nienawidzi PiS – takie ma poglądy.

Szymon Hołownia i jego formacja nie byli pierwszymi, którzy obiecywali „zakończenie wojny polsko-polskiej", „troskę o sprawy zwykłych ludzi" czy inne tego typu rzeczy, brzmiące niemalże jak zapowiedź, że „wszyscy będziemy się do siebie uśmiechać". Wszystkie te hasła – albo bardzo naiwne, albo bardzo cyniczne (szukajmy logiki tam, gdzie dostrzegamy paradoks) – poskromiła polityka realna, w której czasem chodzi o brutalność, czasem o jasny światopogląd, lecz nigdy o miałkość. Oddajmy nawet Hołowni, że częściowo uzdrowił funkcjonowanie Sejmu po czasach marszałkowania Elżbiety Witek, gdyż – w zgodnej opinii większości parlamentarzystów – nie sprawiał problemów z dopuszczaniem wszystkich stron do głosu. Tyle że taką sanacyjną funkcję powinny pełnić mechanizmy systemowe – redukujący się do niej polityk nie rozumie istoty „polityczności".

> To jasne, że „bycie pomiędzy PiS a PO" odnosi się jedynie do miejsc zajmowanych na sali sejmowej. Historia Ruchu Palikota czy Nowoczesnej dowodzi, że „trzecia droga" kończy na jednej z dwóch dróg – albo jest wykańczana przez Donalda Tuska, albo składa mu wiernopoddańczy hołd (zwany „lubnaueryzacją"). Wokół PiS pojawiło się jeszcze więcej różnorakich odnóg – każda była prędzej czy później, lecz zawsze z całą bezwzględnością wycinana, od Ziobro po Gowina.

To ciekawe, że Paulina Matysiak w swojej pracy poselskiej robi mniej więcej to, czym partie typu Polska 2050 obiecywały się zajmować w swoich sloganach – Matysiak przenosi z poziomu propagandowego banału na poziom rzeczywistości obietnicę troski o zwykłych ludzi (oczywiście, nie ona jedyna). Politycy z duopolu łączą w sobie dwie właściwości – namolne, populistyczne odmienianie „zwykłego człowieka" przez wszystkie przypadki (zauważmy, że po rządach PiS obydwie partie operują retoryką anty-elitarystyczną) z całkowitym podporządkowaniem odgórnej, hierarchicznej naturze polskiej polityki. Ta odgórność połączona z opisaną tu wcześniej personalizacją nie pozostawia miejsca na wspieranie działań niemających swojego źródła we własnym środowisku. Nie chodzi tu nawet po prostu o „linię partii", lecz o najnowszą „linię partii" – stanowisko sprzed tygodnia nie ma żadnego znaczenia, jeśli było inne od najnowszego.

Plemiona i ich religie zastępcze

Carl Schmitt, analizując dzieje wojny trzydziestoletniej, stwierdził, że żadna motywacja do podjęcia walki nie ma siły równie potężnej, jak religia. Schmittański „mit" opiera się na kategoriach religijnych przeniesionych do polityki – ma pobudzać wyobraźnię, aktywizować, wywoływać emocje, produkować i reprodukować „bojowników o sprawę". Mit to – w tym ujęciu – to, w co ludzie wierzą i co popycha ich do dzia-

łania. Takie „mity" mają zarówno KO, jak i PiS.

> „Mit walki o demokrację" zderza się z „mitem Smoleńskim", „mit" o ludziach jednoczących się przeciwko władzy mającej dyktatorskie zapędy konfrontuje się z „mitem" obrony polskości przed wrogiem i jego spiskami. Co wydaje się istotne, „mit" – to już moja obserwacja – podnosi poczucie ważności oraz daje poczucie przynależności tym, którzy w niego wierzą. Tak łatwo dziś zostać Reytanem powstrzymującym satrapę – wystarczy uczestniczyć w manifestacji i udzielać się na internetowych forach w dyskusjach prowadzonych pod hasłem: „kto bardziej przyłoży panu X i jego partii". Tak łatwo dziś wstąpić do Armii Krajowej – trzeba tylko walczyć z Tuskiem, który razem z Putinem zamordował polskiego prezydenta. Role życia w przecenie – nie tylko w filmach.

Dodajmy jeszcze, że trzeba życzyć Polsce jak największego zamordyzmu i morderstw politycznych – wtedy łatwiej o „mit".

Wybitne zrozumienie funkcji „mitu" dla ukonstytuowania zbiorowej samoświadomości wykazała „znana z ziemniaków" posłanka Kinga Gajewska, nieustająca w heroicznych wysiłkach, by zostać skutą kajdankami przez policję w trakcie jednego z wieców wyborczych PiS (zakłócała wiec, nie chciała się wylegitymować). Rząd PiS, jak każda dyktatura, pozwolił przeprowadzić demokratyczne wybory i oddał w ich wyniku ster władzy.

Sam „mit smoleński" zaszkodził nie tylko jakości życia publicznego – otoczył sekciarsko-spiskową aurą kwestię wyjaśnienia wydarzeń z 10 kwietnia 2010 roku, co utrudniło przebicie się ze skądinąd fachowymi obliczeniami choćby profesorowi Wiesławowi Biniendzie.

Słowa mówią za nich

Postmoderniści uznawali język za narzędzie zniewalania ludzi – by to wykazać sięgali po koncepcje francuskiego psychoanalityka Jacques'a Lacana. W swojej teorii języka dowodził on, że nie tylko my używamy pojęć, ale też pojęcia używają nas – czyli nieświadomie posługujemy się takimi interpretacjami słów, które pozwalają zachować nad nami władzę. Przykładowo, nawet ateista musi pisać słowo „Bóg" od wielkiej litery.

Zauważmy, że obie strony duopolu narzucają język, w którym ich zwolennicy mówią o rzeczywistości. Zanim przedstawiciel którejś ze zwaśnionych stron przystąpi do opisu, już dokonuje oceny – o jego opinii możemy wnioskować na podstawie samego tylko zestawu pojęć, jakich używa. Nie chodzi tu tylko o najbardziej skrajny wymiar, czyli te wszystkie paski w TV Republika, które tworzą u widza wrażenie, jakby ktoś na niego krzyczał.

Człowiek wychowany na klasycznej publicystyce, w której wniosek następował po analizie, odczuwa pewną dezorientację, gdy już podczas „rozgrzewki" „neutralne" pojęcia uznawane są za podlegające interpretacji i modyfikacji. Rząd Tuska to „Koalicja 13 grudnia", Trybunał Konstytucyjny za czasów rządów PiS to „Trybunał Julii Przyłębskiej". Nie ma informacji, jest tylko ocena – nie ma materiału dowodowego, od razu zapada wyrok.

Jak uzasadnimy bezprawie?

Niedobrze, byśmy redukowali przywoływanie teorii Carla Schmitta w kontekście polskiej polityki do decyzjonizmu. Decyzjonizm to koncepcja odrzucająca legalizm prawny, uznająca, że w obliczu zagrożenia porządku tylko suweren swoimi decyzjami jest w stanie sprawić, że ład zostanie zachowany.

> Zresztą, również decyzjonizm został gdzieś zagubiony przy okazji larum podniesionego po słowach premiera Donalda Tuska o „demokracji walczącej". A przecież szef rządu nawiązywał do pojęcia stworzonego przez Karla Loewensteina, polemisty Schmitta, postulującego używanie środków sprzecznych z istotą demokracji, by obronić samo trwanie ustroju. Czy Tusk widzi w Jarosławie Kaczyńskim decyzjonistę i stąd odkurzenie pojęcia „demokracji walczącej"? A może faktycznie sam stał się decyzjonistą?

Realia międzywojennych Niemiec pozwalały wyraźnie odróżniać od siebie koncepcje Schmitta i Loewensteina. Realia dzisiejszej Polski sprawiają, że zarówno decyzjonizm, jak i „demokracja walcząca" w swojej chęci ominięcia przepisów i uczynienia prawem woli „grupy trzymającej władzę" stanowią to, z czym i Tusk, i Kaczyński nieustannie walczą i do czego nieustannie się przyczyniają – „zagrożenie dla demokracji".

Nagranie: https://www.youtube.com/watch?v=eyUHb7z8yJE

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/postprawda-walczaca-polska-polityka-karykatura-schmitta-i-postmoderny/

DOBRA ANALIZA WYMAGA CZASU

Rzetelny tekst to dni pracy: źródła, dane, redakcja. Każda wpłata pozwala nam przygotować kolejny. Nawet niewielka kwota ma znaczenie.

WSPIERAM ANALIZY

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć